

JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

KRÓL ODSZKODOWAŃ

ZDOBYCIE TEGO,
O CZYM ŚNI KAŻDY PRAWNIK,
MA SVOJĄ CENĘ.



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE KING OF TORTS

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2003
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2013

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Zdjęcie na okładce: © Ruben Mario Ramos/Arcangel

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Opracowanie graficzne okładki: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Strzały w głowę Dyni usłyszało co najmniej osiem osób. Trzy instynktownie zamknęły okna, sprawdziły zamki w drzwiach i wycofały się w bezpieczne lub przynajmniej zaciszne miejsce w swoich małych mieszkaniach. Dwie inne, każda doświadczona w takich sprawach, uciekły z okolic miejsca zdarzenia równie szybko, jeśli nie szybciej, niż uzbrojony bandyta. Kolejna – fanatyczny zwolennik recyklingu z sąsiedztwa – grzebała w śmieciach w poszukiwaniu aluminiowych puszek, gdy dotarły do niej bardzo bliskie odgłosy strzałów. Mężczyzna skoczył za stertę kartonowych pudeł i dopiero kiedy skończył się ostrzał, ostrożnie wszedł w zaułek i zobaczył to, co zostało z Dyni.

Dwaj ludzie widzieli prawie wszystko. Siedzieli na plastikowych skrzynkach na mleko przed sklepem monopolowym na rogu Georgia Avenue i Lamont Street, częściowo zasłonięci przez zaparkowany samochód, tak że bandyta, który rozejrzał się, zanim wszedł w zaułek za Dynią, ich nie widział. Obaj zeznali, że ujrzeli, jak chłopak sięga do kieszeni i wyciąga broń. Widzieli ją na pewno, mały czarny pistolet. Sekundę później padły strzały, nie widzieli jednak właściwie, jak pociski trafiają Dynię w głowę. W następnej sekundzie chłopak wyleciał jak strzała z zaułka i nie wiadomo dlaczego skierował się wprost na nich. Biegł zgięty w pasie niczym spłoszony pies, z miną winowajcy. Na nogach miał

czerwono-żółte buty do gry w kosza, które wydawały się o pięć numerów za duże i płaskały o chodnik, gdy uciekał.

Mijając ich, wciąż trzymał w ręce broń, prawdopodobnie trzydziestkęósemkę. Zobaczywszy ich, wzdrygnął się nerwowo i zdał sobie sprawę, że za dużo widzieli. Przez jedną przerażającą chwilę wydawało się, że podnosi pistolet z zamiarem zlikwidowania świadków, ci jednak zdołali się poderwać z plastikowych skrzynek i uciec, przebijając szaleńczo nogami i machając rękami. Potem zniknął.

Jeden z nich otworzył drzwi sklepu i krzyknął, żeby ktoś wezwał policję, bo doszło do strzelaniny.

Pół godziny później policja otrzymała informację, że młodego mężczyznę pasującego do rysopisu chłopaka, który sprzątnął Dynię, widziano dwukrotnie na Dziewiątej Ulicy z bronią w ręce. Zachowywał się dziwniej niż większość otaczających go ludzi. Próbował zwabić co najmniej jednego człowieka na opuszczoną parcelę, lecz niedoszła ofiara uciekła i poinformowała o tym incydencie.

Policja znalazła sprawcę godzinę później. Nazywał się Tequila Watson, był dwudziestoletnim czarnoskórym mężczyzną, notowanym, co typowe, w policyjnych kartotekach za przestępstwa narkotykowe. Żadnej rodziny. Bez stałego miejsca zamieszkania. Ostatnio w ośrodku odwykowym przy W Street. Udało mu się pozbyć jakoś broni, a jeśli obrabował Dynię, to gotówkę, narkotyki lub jakieś inne łupy także zdążył już wyrzucić. Kieszenie, podobnie jak oczy, miał puste. Gliniarze byli pewni, że w chwili aresztowania Tequila nie był pod wpływem żadnych środków odurzających. Do szybkiego i szorstkiego przesłuchania doszło na ulicy, po czym zakuto go w kajdanki i wepchnięto na tylne siedzenie radiowozu waszyngtońskiej policji.

Zawieźli go z powrotem na Lamont Street i urządzili na poczekaniu konfrontację z dwoma świadkami. Tequila został wprowadzony w zaułek, gdzie zostawił martwego Dynię.

– Byłeś tu kiedyś? – zapytał policjant.

Tequila milczał i tylko gapił się na kałużę krwi na brudnym

betonie. Dwóch świadków doprowadzono w milczeniu na miejsce koło czarnoskórego chłopaka.

– To on – powiedzieli obaj równocześnie.

– Nosi to samo ubranie, te same buty, wszystko oprócz broni.

– To on.

– Na pewno.

Tequila znowu został wepchnięty do radiowozu i zawieziony do aresztu. Aresztowano go pod zarzutem zabójstwa i zamknięto bez szansy na wyjście za kaucją. Dzięki doświadczeniu lub po prostu ze strachu nie powiedział policjantom ani słowa, gdy ci próbowali wyciągnąć od niego informacje pochlebstwami, a nawet groźbą. Niczego, co mogło go obciążyć, niczego, co mogło im pomóc. Żadnej wskazówki, dlaczego zamordował Dynię. Żadnego śladu pozwalającego poznać historię ich znajomości, jeżeli w ogóle łączyła ich znajomość. Wytrawny śledczy zanotował krótko w aktach, że to zabójstwo wygląda na trochę bardziej przypadkowe, niż zazwyczaj bywa.

Sprawca nie domagał się możliwości skorzystania z telefonu. Nie wspomniał ani słowem o adwokacie ani o poręczyтелю. Tequila sprawiał wrażenie oszołomionego, był jednak zadowolony, że może siedzieć w zatłoczonej celi i gapić się w podłogę.



Ojca Dyni nie dało się odnaleźć, ale jego matka pracowała w ochronie podziemi dużego biurowca przy New York Avenue. Ustalenie prawdziwych personaliów jej syna, Ramóna Pumphreya, oraz jego adresu i znalezienie sąsiada skłonnego wyjawić, czy chłopak ma matkę, zajęło policji trzy godziny.

Adelfa Pumphrey siedziała za biurkiem tuż za wejściem do podziemi i patrzyła na rząd monitorów. Była dużą, grubą kobietą w obcisłym mundurze khaki, z bronią za pasem i wyrazem niezmiernego znużenia na twarzy. Policjanci, którzy

do niej podeszli, robili to wcześniej setki razy. Przekazali jej wiadomość, po czym odnaleźli jej zwierchnika.

W mieście, gdzie młodzi ludzie zabijali się nawzajem codziennie, ta ciągła rzeź czyniła ludzi gruboskórnymi i nieczułymi, a każda matka знаła wiele innych, które straciły dzieci. Kolejna taka strata przybliżała o krok do śmierci i wszystkie matki wiedziały, że nadchodzący dzień może być tym ostatnim. Obserwowały, jak inne przeżywają tę zgrozę. Gdy Adelfa Pumphrey siedziała przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach, myślała o swoim synu leżącym teraz gdzieś w mieście i badanym przez obcych ludzi.

Poprzysięgła zemstę temu, kto go zabił.

Przeklęła jego ojca za to, że porzucił syna.

Zapłakała za swoim dzieckiem.

I wiedziała, że przeżyje. Że jakoś przeżyje.



Adelfa poszła do sądu, żeby zobaczyć, jak stawiają sprawcy zarzuty. Dowiedziała się od policji, że łobuz, który zabił jej syna, ma pojawić się w sądzie na krótkim rutynowym przesłuchaniu wstępnym, na którym nie przyzna się do winy i poprosi o adwokata. Siedziała w tylnym rzędzie wraz z bratem po jednej ręce i sąsiadem po drugiej, ocierając łzy wilgotną chustką. Chciała zobaczyć tego chłopaka. Chciała również zapytać, dlaczego to zrobił, ale wiedziała, że nie będzie miała okazji.

Przestępców prowadzono przez salę rozpraw niczym bydło na aukcji. Wszyscy byli młodzi. Zmarnowani ludzie.

Ponieważ Tequila popełnił szczególnie brutalną zbrodnię, oprócz kajdanek miał na nadgarstkach i kostkach łańcuchy. Kiedy powłócząc nogami, trafił na salę wraz z kolejną falą winowajców, wyglądał na człowieka prawie nieszkodliwego. Szybko obrzucił wzrokiem tłum, żeby sprawdzić, czy jest ktoś znajomy, czy ktoś może przyszedł tam dla niego. Usiadł na krześle i wtedy jeden z urzędników sądowych pochylił się i powiedział:

– Ta kobieta tam, w niebieskiej sukience, to matka chłopaka, którego zabiłeś.

Tequila odwrócił się powoli z pochyloną głową i patrzył, ale tylko przez chwilę, prosto w załzawione i podpuchnięte oczy matki swojej ofiary. Adelfa wpatrywała się w chudzielca w za dużym kombinezonie i zastanawiała się, gdzie jest jego matka, jak go wychowała, czy chłopak ma ojca i co najważniejsze, dlaczego i jak napotkał na swojej drodze jej syna. Byli mniej więcej w tym samym wieku co reszta, zbliżali się do dwudziestki lub niedawno ją przekroczyli. Policjanci powiedzieli jej, że przynajmniej na razie wydaje się, że to zabójstwo nie ma związku z narkotykami. Ona jednak wiedziała swoje. Narkotyki wiązały się nierozłącznie z życiem ulicy na wszystkich poziomach. Adelfa aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Dynia palił trawkę i crack i raz został aresztowany za posiadanie narkotyków, ale nigdy nie stosował przemocy. Policja twierdziła, że wygląda to na przypadkowe zabójstwo. Jej brat powiedział kiedyś, że wszystkie uliczne zabójstwa są dziełem przypadku, ale żadne nie jest popełniane bez powodu.

Po jednej stronie sali rozpraw stał stół, przy którym zgromadzili się przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości. Policjanci szeptali coś do prokuratorów przeglądających akta i raporty i próbowali dzielnie przygotować dokumenty przed pojawieniem się przestępców. Po drugiej stronie znajdował się stół, za którym w miarę mozolnego przesuwania się tej sądowej „linii montażowej” zasiadali kolejni obrońcy. Sędzia odklepywał oskarżenia o handel narkotykami, rabunek z bronią w ręku, jakąś niesprecyzowaną napaść seksualną, kolejne zarzuty dotyczące narkotyków i mnóstwo oskarżeń o naruszenie warunków zwolnienia. Gdy wywoływano ich nazwiska, oskarżeni byli doprowadzani do stołu sędziowskiego, gdzie stali w milczeniu. Przekładano papiery, po czym transportowano ich z powrotem do aresztu.

– Tequila Watson – powiedział urzędnik sądowy.

Drugi urzędnik pomógł wstać Watsonowi, a ten potykając

się i pobrzękując łańcuchami, wystąpił naprzód.

– Panie Watson, jest pan oskarżony o zabójstwo – powiedział głośno sędzia. – Ile pan ma lat?

– Dwadzieścia – odparł Tequila ze spuszczonym wzrokiem.

Zarzut zabójstwa odbił się echem w sali i sprawił, że na chwilę zapanował spokój. Inni przestępcy w pomarańczowych kombinezonach spojrzeli na Tequilę z podziwem. Wśród prawników i policjantów wzbudził zainteresowanie.

– Stać pana na opłacenie adwokata?

– Nie.

– Tak też myślałem – mruknął sędzia i spojrzał na stół obrońców. Żyzne pola wydziału karnego waszyngtońskiego sądu okręgowego były codziennie uprawiane przez Biuro Obrońcy Publicznego, stanowiące siatkę asekuracyjną dla wszystkich ubogich oskarżonych. Siedemdziesiąt procent rejestru spraw sądowych obsługiwał adwokat wyznaczony przez sąd i w sali kręciło się zwykle kilku obrońców z urzędu w tanich garniturach i zdartych mokasynach, z aktami sterczącymi z teczek. W tym akurat momencie obecny był tylko jeden obrońca z urzędu, mecenas Clay Carter II, który wstąpił do sądu, żeby dopilnować sprawy dwóch mniej poważnych przestępstw. Teraz chciał wyjść, ale zdał sobie sprawę, że jest zupełnie sam. Zerknął w lewo i w prawo i spostrzegł, że sędzia patrzy na niego. Gdzie się podziała cała reszta obrońców z urzędu?

Tydzień wcześniej Carter zakończył sprawę zabójstwa, która ciągnęła się przez prawie trzy lata i w końcu została zamknięta, a jego klient miał już nigdy nie wyjść z więzienia – przynajmniej oficjalnie. Clay Carter nie miał nic przeciwko temu, że jego klient jest pod kluczem, i czuł ulgę na myśl, że w tym momencie nie ma na biurku żadnych akt sprawy o zabójstwo.

To najwyraźniej miało się zaraz zmienić.

– Panie Carter? – odezwał się sędzia.

Nie był to rozkaz, lecz zachęta, by wystąpił naprzód, i zrobił to, czego oczekiwano od wszystkich obrońców z urzędu:

broniał ubogich bez względu na rodzaj sprawy. Mecenase Carter nie mógł okazać słabości, zwłaszcza na oczach obserwujących go policjantów i prokuratorów. Z trudem przełknął ślinę i spokojnie podszedł do stołu sędziowskiego, jakby od razu mógł zażądać procesu przed ławą przysięgłych. Wziął akta sprawy od sędziego, przejrzał szybko dość skąpą zawartość teczek, ignorując błagalne spojrzenie Tequili Watsona, po czym odparł:

– Oskarżony nie przyznaje się do winy, Wysoki Sądzie.

– Dziękuję panu, mecenasie. Czy mamy wskazać pana jako obrońcę z urzędu?

– Na razie tak. – Carter już układał usprawiedliwienia, by obarczyć tą sprawą kogoś innego w Biurze Obrońcy Publicznego.

– Doskonale. Dziękuję panu – powiedział sędzia, sięgając po następne akta.

Adwokat i jego klient przez parę minut stali przy stole obrońców. Carter otrzymał tyle informacji, ile Tequila był skłonny przekazać, czyli bardzo niewiele. Obiecał wstąpić nazajutrz do aresztu na dłuższą rozmowę. Gdy tak szeptali, wokół stołu zrobiło się nagle tłoczno – to młodzi prawnicy z Biura Obrońcy Publicznego, koledzy Cartera, pojawili się nagle nie wiadomo skąd.

Czyżby zastawiono na mnie pułapkę? – zastanawiał się Carter. Czy zniknęli, wiedząc, że na sali znajduje się człowiek oskarżony o zabójstwo? W ostatnich pięciu latach sam wykręcał takie numery. Uchylenie się od prowadzenia paskudnych spraw było w BOP-ie formą sztuki.

Wziął teczkę i ruszył szybko do wyjścia środkiem sali, obok szeregów zatroskanych krewnych, obok Adelfy Pumphrey i jej niewielkiej grupy wsparcia. Wyszedł na korytarz pełen kolejnych przestępców, ich matek, dziewczyn i adwokatów. W Biurze Obrońcy Publicznego byli tacy, którzy twierdzili, iż żyją chaosem panującym w gmachu Sądu im. H. Carla Moultriego – nawałem spraw, odrobiną zagrożenia spowodowanego tym, że dzielą przestrzeń z tyloma

agresywnymi osobnikami, bolesnym konfliktem między ofiarami i napastnikami, beznadziejnie przepełnionymi rejestrami spraw, powołaniem do ochrony biednych ludzi i zapewnienia im uczciwego traktowania przez policjantów i system.

Jeżeli kariera w BOP-ie kiedykolwiek pociągała Claya Cartera, to teraz już nie pamiętał z jakiego powodu. Za tydzień miała minąć – bez świętowania i przy odrobinie szczęścia niepostrzeżenie dla kogokolwiek – piąta rocznica jego pracy w biurze. W wieku trzydziestu jeden lat czuł się wypalony, tkwił w gabinecie, który wstydził się pokazać znajomym, szukał wyjścia, nie mając dokąd pójść, a teraz został obarczony kolejną bezsensowną sprawą o zabójstwo, która z każdą minutą coraz bardziej mu ciążyła.

W windzie przeklinał siebie za to, że dał się wrobić. Popęłił szkolny błąd; zbyt długo żył na tym świecie, by wpakować się w tę pułapkę, tym bardziej że zastawiono ją na tak dobrze mu znanym terenie. Odejdę, obiecał sobie. Przez ostatni rok prawie codziennie składał sobie takie samo przyrzeczenie.

Windą jechały dwie inne osoby. Pierwszą była kancelistka z naręczem akt. Drugą czterdziestoparoletni mężczyzna, zgodnie z nakazami mody ubrany na czarno – w dżinsy, podkoszulek, marynarkę i buty z krokodylej skóry. Trzymał w ręce gazetę i wydawało się, że czyta ją przez małe okulary zsunięte na czubek dość długiego i kształtnego nosa. W rzeczywistości przyglądał się uważnie Clayowi, który nie był tego świadomy. Dlaczego ktoś miałby zwracać uwagę na kogokolwiek w tej windzie i w tym budynku?

Gdyby Clay Carter, zamiast rozmyślać, zachował czujność, zauważyłby, że mężczyzna jest zbyt porządnie ubrany, aby był obrońcą, zbyt sportowo, by w ogóle być prawnikiem. Miał przy sobie tylko gazetę, co było trochę dziwne, ponieważ gmach Sądu im. H. Carla Moultriego nie słynął jako miejsce lektur. Mężczyzna nie wyglądał na sędziego, kancelistę, ofiarę przestępstwa ani na obrońcę, ale Clay nie zwrócił na niego uwagi.

Rozdział 2

W mieście siedemdziesięciu sześciu tysięcy prawników, często zgrupowanych w olbrzymich, usytuowanych w pobliżu Kapitolu kancelariach, bogatych i potężnych, gdzie najbardziej rozbudowani współpracownicy otrzymywali nieprzychylnie wysokie premie za podpisanie umowy, najmniej inteligentni byli kongresmeni dostawali lukratywne umowy na lobbing, a najbardziej wzięci adwokaci mieli własnych pełnomocników procesowych, Biuro Obrońcy Publicznego znajdowało się w drugiej lidze. Na szarym końcu listy.

Niektórzy jego prawnicy byli głęboko zaangażowani w obronę biednych i uciśnionych i dla nich ta praca nie była tylko szczeblem w karierze. Bez względu na to, jak mało zarabiali i jak napięty był ich budżet, służyła im zawodowa niezależność i satysfakcja, że bronią najsłabszych.

Inni obrońcy z urzędu mówili sobie, że ta praca jest etapem przejściowym, podstawowym szkoleniem, które miało im otworzyć drogę do bardziej obiecującej kariery. Nauczyć się fachu na własnej skórze, pobrudzić sobie ręce, zobaczyć i robić rzeczy, do których żaden współpracownik dużej kancelarii prawniczej nigdy by się nie zbliżył, a pewnego dnia jakaś naprawdę dalekowzroczna firma wynagrodzi ten wysiłek. Bogate doświadczenie procesowe, doskonała znajomość sędziów, urzędników sądowych i policjantów, umiejętność

radzenia sobie z nawałem obowiązków i zajmowania się najtrudniejszymi z klientów – to tylko nieliczne atuty, jakie mieli do zaferowania obrońcy z urzędu po zaledwie kilku latach pracy.

Biuro Obrońcy Publicznego zatrudniało osiemdziesięciu prawników pracujących na dwóch ciasnych i dusznych piętrach gmachu służb publicznych Dystryktu Kolumbii, jasnej, prostopadłościennej budowli z betonu, nazywanej Kostką, usytuowanej przy Massachusetts Avenue nieopodal Thomas Circle. W labiryncie biurowych klitek rozlokowano około czterdziestu marnie opłacanych sekretarek i trzydziestu kilku asystentów prawnych. Dyrektorem biura była kobieta o imieniu Glenda, która większość czasu spędzała zamknięta w gabinecie, tam bowiem czuła się bezpiecznie.

Pensja początkującego prawnika BOP-u wynosiła trzydzieści sześć tysięcy dolarów rocznie. Podwyżki były śladowe i bardzo rzadkie. Prawnik z najdłuższym stażem, wykończony czterdziestotrzyletni starzec, zarabiał pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćset i od dziewiętnastu lat groził, że odejdzie. Obciążenie pracą było olbrzymie, bo miasto przegrywało wojnę z przestępczością. Podaż ubogich kryminalistów była nieograniczona. Przez minionych osiem lat Glenda co roku przedkładała miastu budżet, żądając zatrudnienia kolejnych dziesięciu prawników i kilkunastu asystentów. W każdym z ostatnich czterech budżetów otrzymywała mniej pieniędzy niż rok wcześniej. W tym momencie miała dylemat, których asystentów zwolnić, a których prawników zmusić do pracy w niepełnym wymiarze godzin.

Clay Carter, podobnie jak większość innych obrońców z urzędu, nie trafił na wydział prawa z planami kariery lub nawet krótkiej służby w charakterze obrońcy ubogich przestępców. W żadnym wypadku. W czasach gdy studiował w college'u, a potem na wydziale prawa na Uniwersytecie Georgetown, jego ojciec prowadził kancelarię w Waszyngtonie. Clay od lat pracował tam w niepełnym wymiarze godzin i miał własny gabinet. Wtedy jeszcze nie ograniczał się w marzeniach o

ojcu i synu wspólnie toczących spory sądowe i płynących szerokim strumieniem pieniędzach.

Lecz w ostatnim roku studiów Claya kancelaria upadła i Carter senior wyjechał z miasta. Sytuacja zmieniła się diametralnie. Clay został obrońcą publicznym, bo na rynku nie było innych ofert pracy.

Potrzebował trzech lat, by wywalczyć własny gabinet, zamiast dzielonego z innym prawnikiem lub asystentem. Pokój wielkości skromnej szafy wnękowej w domu na przedmieściach nie miał okien, a biurko zajmowało połowę jego powierzchni. Gabinet Claya w dawnej kancelarii ojca był cztery razy większy i z jego okien roztaczał się widok na pomnik Waszyngtona. Clay próbował wprawdzie zapomnieć o tym gabinecie, ale nie potrafił wymazać go z pamięci. Pięć lat później wciąż czasem siedział przy biurku, gapił się w ściany, które z każdym miesiącem wydawały się bliższe, i zastanawiał się, jak to się stało, że upadł tak nisko.

Cisnął na czyste i uporządkowane biurko akta sprawy Tequili Watsona i zdjął marynarkę. W tak ponurym otoczeniu łatwo byłoby dać za wygraną, pozwolić, by na biurku rosła sterta akt i papierów, zagrzać gabinet i zrzucić to na karb przepracowania i niedoboru personelu. Lecz jego ojciec uważał, że porządek na biurku świadczy o uporządkowanym umyśle. Mawiał, że jeżeli nie potrafisz czegoś znaleźć w ciągu trzydziestu sekund, tracisz pieniądze. Natychmiastowe odpowiadanie na telefony stanowiło kolejną zasadę, której Clay nauczył się przestrzegać.

Tak więc ku wielkiemu rozbawieniu swoich udręczonych kolegów pedantycznie dbał o porządek na biurku i w gabinecie. Jego dyplom absolwenta wydziału prawa Uniwersytetu Georgetown wisiał w pięknej ramce na środku ściany. Przez pierwsze dwa lata pracy w BOP-ie Clay nie chciał go pokazywać z obawy, że pozostali pracownicy będą się zastanawiali, dlaczego ktoś z Georgetown pracuje za tak marne grosze. Żeby zdobyć doświadczenie, często powtarzał w duchu, jestem tutaj, żeby zdobyć doświadczenie. Co miesiąc

proces – trudne starcia z bezwzględnyimi prokuratorami przed bezwzględnyimi przysięgłymi. Szkolenie w bezpardonowej walce na samym dnie, którego nie mogła zapewnić żadna duża kancelaria. Forsa przyjdzie później, gdy w bardzo młodym wieku będzie zahartowanym w boju adwokatem.

Patrzył na cienkie akta sprawy Watsona leżące na biurku i zastanawiał się, jak obarczyć nią kogoś innego. Był już zmęczony trudnymi sprawami, doskonałym szkoleniem i całym gównem, które znosił jako marnie opłacany obrońca z urzędu.

Na jego biurku leżało sześć różowych karteczek z wiadomościami – pięcioma związanymi z pracą, jedną od Rebekki, dziewczyny, z którą był od paru lat. Najpierw zadzwonił do niej.

– Jestem bardzo zajęta – poinformowała po wymianie niezbędnych uprzejmości.

– Dzwoniłaś do mnie – przypomniał jej Clay.

– Owszem, ale mogę rozmawiać tylko przez minutę. – Rebecca pracowała jako asystentka podrzędnego kongresmena, który był przewodniczącym jakiejś bezużytecznej podkomisji. Ponieważ jednak był przewodniczącym, miał dodatkowe biuro i musiał je obsadzić ludźmi takimi jak Rebecca, przez cały dzień gorączkowo przygotowująca następną rundę przesłuchań, na których i tak nikt się nie zjawi. Żeby załatwić jej tę pracę, ojciec Rebekki użył swoich wpływów.

– Ja też jestem trochę zawałony robotą – zastrzegł Clay.

– Właśnie przyjąłem kolejną sprawę o zabójstwo. – Zdołał powiedzieć to z pewną dumą, jakby czuł się zaszczycony rolą obrońcy Tequili Watsona.

Rywalizowali o to, kto jest bardziej zajęty. Kto jest ważniejszy. Kto ciężiej pracuje. Kto jest pod większą presją.

– Jutro są urodziny mojej matki – powiedziała Rebecca z lekkim wahaniem, jakby Clay powinien o tym wiedzieć. Nie wiedział. Nie obchodziło go to. Nie przepadał za jej matką. – Zaprosili nas na kolację w klubie.

Zły dzień stał się jeszcze gorszy. Jedyłą odpowiedzią,

jakiej Clay mógł udzielić, i to szybko, było:

- Oczywiście.
- Koło dziewiętnastej. W marynarce i krawacie.
- No jasne. – Wolałbym zjeść kolację z Watsonem w więzieniu, pomyślał.
- Muszę kończyć – powiedziała Rebecca. – Do zobaczenia. Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Tak wyglądały ich rozmowy: kilka szybkich zdań i pospieszny powrót do zbawiania świata. Clay spojrzął na jej zdjęcie na biurku. Ich romansowi towarzyszyło wystarczająco dużo komplikacji, by rozbić dziesięć małżeństw. Jego ojciec pozwał kiedyś jej ojca i nie było jasne, kto wygrał, a kto przegrał. Jej rodzice twierdzili, że pochodzą ze starej wirginijskiej socjety, ojciec był synem oficera. Oni byli pravicowymi republikanami, on nie. Ojca Rebekki nazywano Bennettem Buldożerem, bo nieustępliwe dążył do zagospodarowania zalesionych terenów przedmieść Waszyngtonu. Clay nie znosił bezładnej zabudowy północnej Wirginii i dyskretnie wspierał finansowo dwie grupy ekologów walczących z deweloperami. Matka Rebekki była agresywną karierowiczką, pragnącą, by jej dwie córki wyszły bogato za mąż. Clay nie widział swojej matki od osiemnastu lat. Nie miał żadnych ambicji towarzyskich. Ani pieniędzy.

Przez prawie cztery lata ich romans trwał mimo comiesięcznych awantur, w większości sprowokowanych przez matkę Rebekki. Utrzymywał się przy życiu dzięki miłości, pożądaniu i determinacji w dążeniu do celu na przekór wszystkiemu. Lecz Clay wyczuwał u Rebekki zmęczenie, postępujące znużenie spowodowane wiekiem i presją rodziny. Miała dwadzieścia osiem lat. Nie chciała robić kariery. Pragnęła męża, rodziny i długich dni spędzanych w country clubie na psuciu dzieci, grze w tenisa i lunchach z matką.

Paulette Tullos zaskoczyła go, zjawiając się nie wiadomo skąd.

– Daleś się wrobić, co? – zagadnęła z drwiącym uśmieszkiem. – Nowa sprawa o zabójstwo.

– Byłaś tam?

– Wszystko widziałam. Widziałam, co się święci, widziałam moment zdarzenia i nie mogłam cię ocalić, kolego.

– Dzięki. Jestem ci winien przysługę.

Chętnie zaproponowałaby, żeby usiadła, ale w jego gabinecie nie było więcej krzeseł. Brakowało na nie miejsca, a poza tym nie były potrzebne, ponieważ wszyscy klienci Claya i tak siedzieli za kratkami. Pogaduszki na siedząco nie należały do rutynowych czynności w Biurze Obrońcy Publicznego.

– Jakie mam szanse się jej pozbyć? – zapytał.

– Bliskie zeru. Kogo zamierzasz nią obarczyć?

– Myślałem o tobie.

– Przykro mi. Już prowadzę dwie takie sprawy. Glenda nie pójdzie ci na rękę.

Paulette była najlepszą przyjaciółką Claya w biurze. Pochodziła z dzikiej części miasta, z trudem skończyła college oraz wieczorowe studia prawnicze i wydawało się, że jej przeznaczeniem jest środowisko klasy średniej, lecz poznała starszego pana z Grecji zdradzającego upodobanie do młodych czarnoskórych kobiet. Ożenił się z nią i pomógł jej urządzić się wygodnie w północno-zachodnim Waszyngtonie, po czym wrócił do Europy, gdzie wolał mieszkać na stałe. Paulette podejrzewała, że ma tam kilka żon, ale nieszczególnie się tym przejmowała. Żyła w dostatku i rzadko bywała sama. Po dziesięciu latach ten układ dobrze się sprawdzał.

– Słyszałam rozmowę prokuratorów – powiedziała. – Kolejne uliczne zabójstwo, ale motyw budzi wątpliwości.

– Nie pierwsze w dziejach BOP-u.

– Nie ma wyraźnego motywu.

– Zawsze jest jakiś motyw... gotówka, narkotyki, seks, nowe markowe buty.

– Ale chłopak był dość potulny, nie miał na koncie aktów przemocy.

– Pierwsze wrażenie często myli, przecież o tym wiesz.

– Jermaine dostał dwa dni temu bardzo podobną sprawę. Bez wyraźnego motywu.

– Pierwsze słyszę.

– Możesz spróbować z nim. Jest tu nowy i ambitny. Kto wie, może uda ci się zwalić to na niego.

– Zaraz to zrobię.

Jermaine'a nie zastał. Lecz drzwi gabinetu Glendy były z jakiegoś powodu uchylone. Clay zastukał w nie, wchodząc do środka.

– Ma pani chwilę czasu? – zapytał, wiedząc, że Glenda nie znosi poświęcać go żadnemu ze swoich podwładnych. Radziła sobie jako tako z kierowaniem biurem, przydzielaniem spraw, pilnowaniem budżetu i co najważniejsze, uprawianiem polityki wśród władz miasta. Ale ludzi nie lubiła. Wolała wykonywać swoją pracę za zamkniętymi drzwiami.

– Jasne – powiedziała opryskliwie i bez przekonania. Było oczywiste, że nie cieszy się z najścia, i właśnie takiego przyjęcia spodziewał się Clay.

– Dziś rano przypadkiem znalazłem się o niewłaściwej porze w wydziale karnym sądu i zostałem wrobiony w obronę podejrzanego o zabójstwo, którą wolałbym przekazać komuś innemu. Dopiero zakończyłem sprawę Traxela, która, jak pani wie, ciągnęła się prawie trzy lata. Muszę odpocząć od zabójstw. Może zajmie się tym jeden z młodszych obrońców?

– Wymiguje się pan? – zapytała, unosząc brwi.

– Oczywiście. Niech pani zwali na mnie na kilka miesięcy sprawy koksu i włamań. O nic innego nie proszę.

– A kto pana zdaniem powinien zająć się tym... Co to za sprawa?

– Tequili Watsona.

– Tequila Watson. Kto powinien go bronić, panie Carter?

– To mnie nie obchodzi. Po prostu potrzebuję odpoczynku.

Glenda rozsiadła się wygodnie w fotelu niczym mądry sędziwy prezes zarządu i zaczęła gryźć końcówkę długopisu.

– Tylko pan? Wszyscy bardzo chętnie byśmy odpoczęli, nieprawdaż?

– Tak czy nie?

– Zatrudniamy tu osiemdziesięciu prawników, mecenasie Carter, z czego niecała połowa ma kwalifikacje do prowadzenia spraw o zabójstwo. Każdy z nich prowadzi co najmniej dwie. Jeżeli pan może, niech pan ją komuś przekaże, ale ja nie mam zamiaru przydzielać jej nikomu innemu.

Wychodząc, Clay rzucił:

- Z pewnością przydałaby mi się podwyżka.
- W przyszłym roku, mecenasie Carter. W przyszłym roku.
- I asystent.
- W przyszłym roku.

Akta sprawy Tequili Watsona pozostały więc w schludnym i uporządkowanym gabinecie adwokata Jarretta Claya Cartera II.

Rozdział 3

Ostatecznie ten budynek był tylko więzieniem. Chociaż powstał niedawno i zaraz po uroczystym otwarciu stał się powodem do wielkiej dumy dla garstki miejskich notabli, pozostał więzieniem. Zaprojektowany przez czołowych specjalistów i ozdobiony nowoczesnymi gadżetami zabezpieczającymi, pozostał więzieniem. Sprawnie działającym, bezpiecznym, humanitarnym i – choć zbudowano je z myślą o następnym stuleciu – z nadkompletem od dnia otwarcia. Z zewnątrz przypominało duży czerwony pustak spoczywający na węższym boku, pozbawiony okien, straszny, wypełniony przestępcami i niezliczoną liczbą ludzi, którzy ich pilnowali. Aby poprawić komuś samopoczucie, nazwano je Ośrodkiem Wymiaru Sprawiedliwości – tego współczesnego eufemizmu używali powszechnie twórcy takich projektów. Było to jednak więzienie.

I w dużej mierze stanowiło teren aktywności zawodowej Claya Cartera. Tam spotykał niemal wszystkich swoich klientów po aresztowaniu i przed zwolnieniem za kaucją, o ile mogli ją wpłacić. Wielu nie mogło, a wielu aresztowano za przestępstwa z użyciem przemocy i bez względu na to, czy byli winni, czy nie, trzymano ich pod kluczem do procesu. Tigger Banks spędził prawie osiem miesięcy w więzieniu za włamanie, którego nie dokonał. Stracił dwie posady. Stracił mieszkanie. Stracił godność. Jego ostatni telefon do Claya był

wstrząsającym błaganiem o pieniądze. Chłopak znowu był na prochach, na ulicy, bliski wpakowania się w kłopoty.

Każdy waszyngtoński prawnik zajmujący się sprawami karnymi miał do opowiedzenia podobną historię, a wszystkie kończyły się źle i nic nie dało się z tym zrobić. Koszt utrzymania jednego więźnia wynosił czterdzieści jeden tysięcy dolarów rocznie. Dlaczego twórcom tego systemu tak bardzo zależało na trwonieniu pieniędzy?

Clay miał już dość tych pytań, miał dość zawodowych kontaktów z takimi klientami jak Tigger, miał dość tego więzienia i tych samych gburowatych strażników witających go przy wejściu w podziemiach, z którego korzystali prawie wszyscy prawnicy. Miał również dość zapachu tego miejsca i idiotycznych procedur wprowadzonych przez gryzipiórków, którzy przeczytali podręczniki traktujące o sposobach zapewnienia bezpieczeństwa w więzieniach. Była dziewiąta rano, środa, chociaż dla Claya wszystkie dni były takie same. Podszedł do okienka z tabliczką *Adwokaci* i gdy urzędniczka nabrała pewności, że odczekał swoje, odsunęła w milczeniu szybę. Słowa nie były potrzebne, ponieważ oboje od niemal pięciu lat patrzyli na siebie wilkiem. Podpisał się w rejestrze, oddał go, a ona zasunęła szybę – zapewne kuloodporną, dla ochrony przed szalejącymi prawnikami.

Glenda poświęciła dwa lata na próby wdrożenia prostej metody, dzięki której prawnicy z BOP-u i wszyscy inni odwiedzający mogliby telefonować godzinę przed przybyciem, a ich klienci czekali na nich w pobliżu pokoju widzeń. Było to proste życzenie i bez wątpienia właśnie jego prostota sprawiła, że przepadło w piekielnej biurokratycznej otchłani.

Pod ścianą stały krzesła, na których prawnicy mieli czekać, aż ich prośba zostanie przesłana w żółtym tempie do kogoś na górze. O dziewiątej rano zawsze siedziało tam kilku prawników bawiących się aktami, szepczących do telefonów komórkowych i ignorujących siebie nawzajem. Na początku kariery zawodowej młody Clay przynosił grube prawnicze

księgi, by studiować je z przejęciem, zaznaczać w nich na żółto fragmenty tekstu i w ten sposób robić wrażenie na kolegach prawnikach. Teraz wyciągnął „Posta” i czytał rubrykę sportową. I jak zawsze zerkał na zegarek, by sprawdzić, ile czasu zmarnuje, czekając na Watsona.

Dwadzieścia cztery minuty. Całkiem nieźle.

Strażnik poprowadził go korytarzem do długiego pokoju przedzielonego grubą taflą pleksiglasu. Wskazał na czwarty boks od końca i Clay zajął w nim miejsce. Druga połowa boksu była pusta. Kolejne minuty czekania. Wyjął z teczki papiery i zaczął się zastanawiać nad pytaniami, jakie zada Tequila. Boks z prawej strony był zajęty przez adwokata pochłoniętego nerwową, lecz cichą rozmową z niewidocznym dla Clay'a klientem.

Strażnik wrócił i szeptem, jakby taka rozmowa była niezgodna z prawem, powiedział:

– Pański chłopak miał fatalną noc. – Przykucnął przy tym i spojrzał na kamery monitoringu.

– Rozumiem – odparł Clay.

– Około drugiej nad ranem rzucił się na jakiegoś dzieciaka i wszczął ostrą burdę. Trzeba było sześciu naszych ludzi, żeby ich rozdzielić. Jest w opłakanym stanie.

– Tequila?

– Watson, tak. Ten drugi wylądował w szpitalu. Może się pan spodziewać dodatkowych zarzutów.

– Jest pan pewny? – zapytał Carter, spoglądając przez ramię.

– Wszystko jest na wideo. – Koniec rozmowy.

Obaj podnieśli wzrok, gdy Tequila został doprowadzony do boksu przez dwóch strażników trzymających go pod łokcie. Był w kajdankach i nie rozkuto go, chociaż zazwyczaj więźniowie mogli rozmawiać z adwokatami niczym nieskrępowani. Tequila usiadł. Strażnicy odsunęli się wprawdzie, ale pozostali w pobliżu.

Lewe oko miał zapuchnięte, w obu kącikach zakrzepła krew. Prawe było otwarte, a źrenica miała jasnoczerwony

kolor. Na czole przyklejono plastrem gazowy opatrunek, a na podbródku motylek. Wargi i szczęki chłopaka były tak obrzmiałe, że Clay nie był pewny, czy to naprawdę jego klient. Ktoś po prostu sprzął na kwaśne jabłko człowieka siedzącego metr od niego za taflą pleksi.

Clay podniósł czarną słuchawkę i ruchem ręki zachęcił Tequilę, by zrobił to samo. Ten wziął ją niezdarnie obiema rękami.

– Nazywasz się Tequila Watson? – zapytał Clay, próbując na tyle, na ile było to możliwe, patrzeć mu w oczy.

Chłopak bardzo powoli skinął głową, jakby w jego czaszce przemieszczały się wyrwane ze stawów kości.

– Byłeś u lekarza?

Skinienie głową.

– Czy to policjanci tak cię urządzili?

Bez wahania pokręcił głową. Nie.

– To sprawka współwięźniów?

I znowu skinienie głową.

– Policja twierdzi, że to ty wszcząłeś tę bójkę, pobiliś jakiegoś dzieciaka tak, że wylądował w szpitalu. To prawda?

Skinienie głową.

Trudno było sobie wyobrazić, że Tequila Watson, siedemdziesiąt kilo żywej wagi, terroryzował ludzi w zatłoczonej celi waszyngtońskiego więzienia.

– Znałeś tego chłopaka?

Tequila pokręcił głową.

Dotychczas słuchawka nie była potrzebna, ale Clay miał już dosyć tego języka migowego.

– Dlaczego właściwie go pobiliś?

Wargi chłopaka w końcu rozwarły się z wielkim trudem.

– Nie wiem – zdołał wymamrotać powoli i z wyraźnym bólem.

– Wspaniale. To mi daje jakiś punkt zaczepienia. Może działałeś w obronie własnej? Czy ten chłopak dobierał się do ciebie? Pierwszy zadał cios?

– Nie.

- Był naćpany lub pijany?
- Nie.
- Przekomarzał się z tobą, rzucał groźby albo coś podobnego?
- Spał.
- Spał?
- Tak.
- Chrapał za głośno? Nieważne.

Clay, który nagle musiał zapisać coś w notesie, spuścił wzrok. Nagryzmolił datę, godzinę, miejsce, nazwisko swojego klienta, po czym skończyły się ważne fakty do odnotowania. W pamięci przechowywał sto pytań, a po nich sto kolejnych. W takich wstępnych rozmowach rzadko się zmieniały; po prostu zasadnicze wydarzenia z nędznego życia jego klienta i to, jak doszło do ich spotkania. Prawda była strzeżona niczym rzadkie klejnoty, które należało podawać przez pleksi tylko wtedy, gdy klientowi nic nie groziło. Na pytania o rodzinę, szkołę, pracę i przyjaciół zwykle padały dość szczere odpowiedzi. Lecz pytania związane z przestępstwem skłaniały do kręcenia. Wszyscy obrońcy w sprawach karnych wiedzieli, że podczas pierwszych rozmów nie mogą rozwodzić się zbyt na temat przestępstwa. Że mają szukać szczegółów gdzie indziej. Prowadzić śledztwo bez wskazówek klienta. Prawda może pojawić się potem.

Jednak Tequila wydawał się zupełnie inny. Na razie nie bał się mówić prawdy. Clay postanowił zaoszczędzić mnóstwo cennego czasu. Pochylił się bliżej i spytał cicho:

– Zabiłeś ponoć jakiegoś chłopaka, wpakowałeś mu kilka kulek w głowę?

Tequila skinął lekko głową.

– Ramóna Pumphreya, nazywanego również Dynią. Znałeś tego gościa?

Znów skinął głową.

– Strzelałeś do niego? – Głos Claya przeszedł w szept. Strażnicy drzemali, ale to pytanie pozostawało pytaniem, którego prawnicy nie zadawali, w każdym razie nie w

więzieniu.

- Tak – odparł cicho Tequila.
- Pięć razy?
- Wydawało mi się, że sześć.

Cóż, no to po procesie. Zamknę tę sprawę w ciągu sześćdziesięciu dni, pomyślał Clay. Szybka umowa z prokuraturą. Przyznanie się do winy w zamian za dożywocie.

- Chodziło o jakąś transakcję narkotykową? – zapytał.
- Nie.
- Obrabowałeś go?
- Nie.
- Pomóż mi. Miałeś chyba jakiś powód?
- Znałem Dynię.
- To wszystko? Znałeś go? Nie masz lepszego

usprawiedliwienia?

Watson skinął głową, ale milczał.

– Dziewczyna, prawda? Przyłapałeś go ze swoją dziewczyną?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

- Czy to miało coś wspólnego z seksem?
- Nie.

– Porozmawiaj ze mną. Jestem twoim adwokatem. Jestem jedyną osobą na tej planecie, która właśnie próbuje ci pomóc. Daj mi jakiś punkt zaczepienia.

- Kiedyś kupowałem od Dyni narkotyki.
- To rozumiem. Jak dawno temu?
- Parę lat.

– W porządku. Był ci winien pieniądze lub narkotyki? Ty byłeś mu coś winien?

- Nie.

Clay odetchnął głęboko i po raz pierwszy zwrócił uwagę na dłonie Tequili, pokryte drobnymi skaleczeniami i spuchnięte tak bardzo, że nie widać było knykci.

- Często się bijesz?

Może skinienie głową, może zaprzeczenie.

- Już nie.

- Kiedyś się biłeś?
- Jako dzieciak. Raz pobiłem się z Dynią.
- Nareszcie. Clay znów odetchnął głęboko i uniósł długopis.
- Dziękuję za pomoc. Kiedy dokładnie?
- Dawno temu.
- Ile mieliście wtedy lat?

Wzruszenie ramion w odpowiedzi na głupie pytanie. Clay wiedział z doświadczenia, że jego klienci nie znają pojęcia czasu. Obrabowano ich wczoraj lub aresztowano w zeszłym miesiącu, ale sięgnij trzydzieści dni wstecz, a cała historia zlewa się w jedno. Uliczne życie było walką o przetrwanie dzisiaj, bez czasu na reminiscencje i bez tęsknoty za czymkolwiek z przeszłości. Przyszłość nie istniała, więc ten punkt odniesienia był podobną niewiadomą.

– Byliście dziećmi – odparł Tequila, najwyraźniej nawykły do zwięzłych odpowiedzi.

- Ile mieliście lat?
- Ze dwanaście.
- Pobiliście się w szkole?
- Grając w kosza.
- Czy ta bójka miała paskudne skutki, skaleczenia, połamane kości i podobne historie?
- Nie. Rozdzielili nas dorośli.

Clay odłożył na chwilę słuchawkę i streścił swoją mowę obrońcą: „Panie i panowie przysięgli, mój klient strzelił z kradzionej broni pięć lub sześć razy do człowieka (który nie był uzbrojony) z bliskiej odległości w brudnym zaułku z dwóch powodów: po pierwsze, rozpoznał go, a po drugie, osiem lat temu pobili się na boisku. Może nie zabrzmiało przekonująco, panie i panowie, ale przecież wszyscy wiemy, że w Waszyngtonie te dwa powody są nie gorsze od innych”.

- Często widywałeś Dynię?
- Nie.
- Kiedy widziałeś go przedostatnim razem?

Wzruszenie ramion. Znowu problem z poczuciem czasu.

- Widywałeś go raz na tydzień?

- Nie.
- Raz na miesiąc?
- Nie.
- Dwa razy do roku?
- Być może.
- Gdy widziałeś się z nim dwa dni temu, pokłóciliście się?

Pomóż mi, próbuję poznać szczegóły.

- Nie pokłóciliśmy się.
- Dlaczego weszliście w ten zaułek?

Tequila odłożył słuchawkę i zaczął bardzo powoli poruszać głową w przód i w tył, żeby obmyślić jakieś dziwaczne wytłumaczenie. Było widać, że cierpi. Wydawało się, że kajdanki wrzynają mu się w skórę. W końcu znowu podniósł słuchawkę i powiedział:

– Powiem panu prawdę. Miałem broń i chciałem kogoś zabić. Kogokolwiek. Opuściłem Obóz i po prostu zacząłem łązić bez celu, szukając kogoś, kogo mógłbym zastrzelić. O mało nie zabiłem jakiegoś Koreańczyka przed jego sklepem, ale w pobliżu było za dużo ludzi. Spostrzegłem Dynię. Znałem go. Spacerowaliśmy przez minutę. Powiedziałem, że jeśli chce działkę, to mam trochę koki. Weszliśmy w ten zaułek. I zastrzeliłem go. Nie wiem dlaczego. Po prostu chciałem kogoś zabić.

Gdy stało się jasne, że to już koniec opowieści, Clay zapytał:

- Co to jest Obóz?
- Ośrodek odwykowy. Tam właśnie byłem.
- Jak długo?

Znowu problem czasu. Ale odpowiedź okazała się wielką niespodzianką.

- Sto piętnaście dni.
- Przez sto piętnaście dni nic nie brałeś?
- Nie.
- Byłeś czysty, gdy strzelałeś do Dyni?
- Tak. I wciąż jestem. Od stu szesnastu dni.
- Czy zastrzeliłeś kogoś już wcześniej?

- Nie.
- Gdzie zdobyłeś broń?
- Ukradłem ją z domu kuzyna.
- Czy Obóz to ośrodek zamknięty?
- Tak.
- Uciekłeś?
- Dostawałem dwugodzinne przepustki. Po stu dniach odwyku można wyjść na dwie godziny, a potem wrócić.
- Więc wyszedłeś z Obozu, trafiłeś do domu kuzyna, ukradłeś broń, po czym zacząłeś spacerować po ulicach, szukając potencjalnej ofiary, i znalazłeś Dynię?
- Przy końcu pytania Tequila zaczął kiwać głową.
- Tak się właśnie stało. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, bo sam nie wiem. Po prostu nie wiem.
- W zaczerwienionym prawym oku Tequili chyba pojawiły się łzy, być może pod wpływem poczucia winy i wyrzutów sumienia, ale Clay nie był tego pewny. Wyjął z teczki jakieś dokumenty i wsunął je przez otwór w przegrodzie.
- Podpisz to przy tych czerwonych ptaszkach. Wrócę za parę dni.
- Tequila zignorował dokumenty.
- Co się ze mną stanie? – zapytał.
- O tym porozmawiamy później.
- Kiedy będę mógł wyjść?
- Chyba nieprędko.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).